

Cięcia

26 lutego 2009

Po kilku miesiącach strugania wariata w stylu niedawnego balcerowiczowskiego „Kryzys? Jaki kryzys?”, Donald Tusk doszedł do wniosku, że na kryzysie można zarobić. Medialnie. Przyznał, że i owszem coś o kryzysie słyszał, w związku z tym rząd, żeby dać przykład zaciskania pasa w ciężkich czasach, zaczął ciąć wydatki w ministerstwach. Przekaz był jasny: minister, który nie obetnie założonej sumy w budżecie ministerialnym – wylatuje. Co jak co, ale groźba utraty posady działa na polityków bardziej motywująco niż cokolwiek innego, stąd trudno się dziwić, że po dwóch tygodniach uśmiechnięty premier powiedział dziennikarzom o „happy endzie” swojej akcji antykryzysowej – „zaoszczędził” 19,7 mld zł!

A więc wszędzie tam, gdzie urzędnicy państwowi rozkładają ręce i mówią zrozpaczonemu Polakom, że nie ma pieniędzy – w szpitalach, szkołach, sądach, urzędach, chronicznie brakujących i niedoinwestowanych żłobkach i przedszkolach – będzie jeszcze gorzej! Sukces, doprawdy, porażający. No, ale komentatorzy liberalnych mediów pieją z zachwyty – ich bowiem te cięcia nie dotyczą. Ba, w jeszcze większym stopniu będzie stać ich na horrendalnie drogie leczenie czy szkolnictwo prywatne – wszak w tym roku zostanie im w kieszeni okrągła trzynasta pensja z racji obniżenia najwyższej stawki podatkowej.

Kryzys dodał pewności pracodawcom – masowe zwolnienia zapowiada już Poczta Polska oraz firmy notowane na giełdzie, której krach wydaje się nie mieć dna. Jak wynika z biznesowego raportu „Perspektywy na 2009 r.”, odpowiedzią szefów największych firm w Polsce na kryzys jest: „podnoszenie efektywności, ograniczanie wydatków i restrukturyzacja” [1], czyli – przekładając na nasze – zwiększenie ilości pracy za to samo lub niższe wynagrodzenie, obcięcie funduszy socjalnych i masowe zwolnienia. Tragedią jest postawa największych polskich

central związkowych – miast bronić pracobiorców, godzą się „w imię kryzysu” na zwolnienia, obniżki pensji i kasację przywilejów. Na co komu takie związki zawodowe?

W sumie, na obniżeniu składki rentowej i obniżeniu podatków, budżet państwa straci rocznie ok. 30 mld zł. I to w chwili, kiedy poprzez spadek tempa wzrostu gospodarczego, zakładane w zeszłym przez rząd roku wpływy do budżetu będą znacząco mniejsze.

Wychodzi tu na wierzch cała obłuda rządu, premiera, Platformy Obywatelskiej, a także opozycyjnego PiS-u. Wszak to za czasów niesławnych rządów tego ostatniego zlikwidowano podatek od spadków, zmniejszono składkę rentową i wreszcie obniżono podatki z 19, 30 i 40% do 18 i 32%. I jeszcze się tym chwalą – jak ostatnio w reklamowych spotach były pisowskie ministerki – Gęsicka, Kluzik-Rostkowska i Natalii-Świat.

Obłuda PiS-u polegała na prezentacji siebie, jako ugrupowania „socjalnego” i „prosolidarnościowego” w opozycji do „liberalnej” PO. W rzeczywistości to PiS przygotował dla PO przedpole do wprowadzenia podatku liniowego, promującego wąską grupę najbogatszych kosztem reszty społeczeństwa. Czym zatem różnią się obie te partie? Moim zdaniem niczym, i jestem przekonany, że gdyby nie psychopatyczna osobowość Jarosława Kaczyńskiego, już dawno zawiązałyby sojusz.

Nie bardzo natomiast rozumiem politykę SLD, a raczej jego klubu parlamentarnego, który zamiast zgłosić projekt ustawy ustanowienia zlikwidowanej trzeciej stawki podatkowej w wysokości, powiedzmy, 50%, odrzuca wraz z rządzącymi neoliberalami prezydenckie weto w sprawie pomostówek. Toż to przecież strzał w stopę dla partii mieniącej się „lewicową”. Strategia Olejniczaka prowadzi w prostej drodze do casusu Marka Borowskiego i chmary nic nie znaczących partyjek tzw. centrolewicowych – czyli do sojuszu z takimi „lewicowcami” jak Andrzej Olechowski czy Paweł Piskorski.

Jest to strategia dla lewicy uszyta m.in. przez „Gazetę Wyborczą” – lewicy „odpowiedzialnej”, czyli „millerowskiej” – głosującej za ustawami godzącymi w ludzi pracy najemnej, czyli w większość Polaków. Strategia, dodajmy, prowadząca w prostej drodze do jej marginalizacji – nic nie znaczącego, pięcioprocentowego kwiatka do prawicowego kożucha.

Szantaż wobec SLD prowadzony na łamach głównych mediów, że nie można głosować tak jak PiS, bo elektorat SLD jest antypisowski, nie wart jest funta kłaków. To właśnie na PiS głosowała duża część byłych wyborców SLD, rozczarowanych ultraliberalnym okresem rządów Millera i Belki. To do prezydenta Kaczyńskiego chodziły delegacje największych central związkowych z prośbą o zawetowanie ustawy o pomostówkach, co ten zresztą uczynił. W efekcie ruch związkowy, stanowiący naturalną bazę dla lewicy, dostał od niej jasny sygnał – na nas nie możecie liczyć.

Teraz Kaczyński znowu ubiegł SLD – przesłał do Najwyższej Izby Kontroli wnioski o zbadanie prawomocności rządowych cięć budżetowych. I choć zapewne nieskuteczny, prezydent z całą pewnością wie, co robi – wyręcza skompromitowanych spin doctorów PiS-u w budowaniu jej „prospołecznego” wizerunku. Czy mu się to uda, zobaczymy w następnych wyborach, w których – o ile Napieralski radykalnie nie pójdzie na lewo – SLD nic już nie będzie znaczyć.

Autor: Stefan Zgliczyński

Źródło: [„Le Monde diplomatique” nr 2 \(36\) 2009](#)

PRZYPIS

[1] „Recepty na kryzys”, Gazeta Wyborcza, 3 lutego 2009.